

Henryk Sienkiewicz „Potop” – wybrane fragmenty, tom II, rozdz. 17

Tymczasem odezwał się groźny Arfuid Wittenberg. Znamienity oficer przywiózł jego surowe pismo do klasztoru z rozkazem dla ojców poddania twierdzy Millerowi. „W przeciwnym razie – pisał Wittenberg – jeśli nie zaniechacie oporu i nie zechcecie ulegać wspomnianemu panu generałowi, bądźcie przekonani, że surowa was czeka za to kara, która innym posłuzży za przykład. Winę zaś tego sobie przypisiecie.” Ojcowie, po odebraniu tego listu, postanowili po staremu zwlekać, co dzień nowe trudności przedstawiając. I znów poczęły płynąć dni, podczas których huk armat przerywał układy, i odwrotnie. (...) Lecz czas płynący przynosił coraz jaśniejsze na owe pytania odpowiedzi. Opór, który się tu począł, szerzył się jak pożar. Mimo dość tępej głowy spostrzegł generał w końcu, o co księdzu Kordeckiemu chodziło, bo zresztą wyłumaczył to niezbitnie Sadowski: że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo Zgromadzenia – ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Miller, że ów ksiądz cichy wiedział, co czynił, że miał świadomość swojej misji, że powstał jako prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by głosem potężnym zawołał na wschód i zachód, na północ i południe: *Sursum corda!* – by czy to zwycięstwem swoim, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, obmyć z grzechów grzesznych, uczynić światło w ciemnościach. Spostrzegłszy to ów stary wojownik po prostu złął się i tego obrońcy, i własnego zadania. Nagle ów „kurnik” częstochowski wydał mu się olbrzymią górą bronioną przez tytana, a sam sobie wydał się generał małym, a na armię własną spojrzął po raz pierwszy w życiu jak na garść lichego robactwa. Imże to podnosić rękę na tę jakąś straszną, tajemniczą i niebotyczną potęgę? (...) „U licha! – myślał Miller – takie mury nie oprą się takim kolubrynom, a gdy to gniazdo strachów, zabobonu, czarów z dymem się rozwieje, wnet rzeczy wezmą inny obrót i cały kraj się uspokoi.” W oczekiwaniu więc na większe działa, kazał strzelać z mniejszych. Dni walki wróciły. Próżno ednak kule ogniste padały na dachy, próżno najdzielniejsi puszkarze nadludzkie czynili usiłowania. Ilekroć wiatr zwiął morze dymów, klasztor ukazywał się nietknięty, wspaniały jak zawsze, wyniosły, z wieżami bodącymi spokojnie błękit. Tymczasem zdarzały się wypadki szerszące zabobonny przestרח między oblegającymi. To kule przelatywały ponad całą górą i raziły stojących z drugiej strony żołnierzy; to puszkarz, zajęty rychtowaniem działa, padał nagłe; to dymy układały się w straszne i dziwaczne postacie; to prochy w jaszczach zapalały się nagłe, jakby niewidomą ręką podpalone. (...) Szwedzi spędzali to na czary. (...) Pewnego rana popłoch wszczął się we wschodnio-południowym przykopie; żołnierze bowiem ujrzeni wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokotem twarzami na ziemię. Próżno nadjechał sam Miller, próżno tłumaczył im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób; próżno wreszcie groził sądem i karami. (...) Wśród strzałów armatnich nowy poseł millerowski wszedł do klasztoru i stanął przed obliczem księdza Kordeckiego i rady. Był to pan Śladkowski, podstoli rawski, którego podjazdy szwedzkie ogarnęły, gdy z Prus powracał. Przyjęto go zimno i surowo, choć twarz miał pocziwą, a spojrzenie jak niebo pogodne, bo już się byli przyzwyczaili zakonnicy do pocziwych twarzy u zdrajców. Ale on się takim przyjęciem wcale nie zmieszał i podczasując rażno palcami płowego czuba na głowie ozwał się: – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Na wieki wieków! – odezwali się chórem zebrani. A ksiądz Kordecki zaraz dodał: – Niech będą błogosławieni, którzy Mu służą. – I ja Mu służę – odrzekł pan podstoli – a że szczerzej niż Millerowi, to się zaraz pokaże... Hm! pozwólcie, ojcowie czcigodni i kochani, że odchrząknę, bo muszę naprzód paskudztwo wypłunać... Więc tedy Miller... tfu!... przysłał mnie, mój dobry panie, do was, żebym was do poddania się... tfu!... namawiał. A ja się podjąłem dlatego, żeby wam powiedzieć: brońcie się, o poddaniu nie myślcie, bo Szwedzi już cienko przędą i lichy ich w oczach bierze. Zdumiali się zakonnicy i mężowie świeccy wzdając takiego posła; naraz pan miecznik sieradzki zakrzyknął: – Jak mi Bóg miły, to jakiś uczciwy człowiek! I skoczywszy ku niemu pocałował mu ręką potrzasać, a pan Śladkowski drugą, wolną, znów podgarnął czuba i mówił dalej: – Żem nie jest szelmą, to się także zaraz pokaże. Kreowałem się Millerowi posłem jeszcze i dlatego, by wam nowin udzielić, które są tak pomyślne, że chciałbym je wszystkim, mój dobry panie, jednym tchem wypowiedzieć... Dziękujcie Bogu i Najświętszej Jego Rodzicielce, że was obrała za narzędzia do odwrócenia serc ludzkich! Waszym to przykładem, waszą obroną kraj nauczony poczyna zrywać z siebie jarzmo szwedzkie. Co tu gadać! Biją Szwedów w Wielkopolsce i na Mazurach, znoszą mniejsze oddziały, zalegają drogi i pasy. W kilku już miejscach srogiego dali im łupnia. Szlachta siada na koń, chłopci, mój dobry panie, w kupy się zbierają, a jak złapią jakiego Szweda, to pasy z niego drą. Wióry lecą, kłaki lecą! Ot, co jest! ot, do czego przyszło! A kto to sprawił? Wy! – Anioł to, anioł powiada! – wołali zakonnicy i szlachta wznosząc do nieba ręce. – Nie anioł, ale do usług, Śladkowski, podstoli rawski... Nic to! Słuchajcie dalej: Chan, pomny na dobrodziejstwa pana naszego, króla prawowitego Jana Kazimierza, któremu niech Bóg da zdrowie i panowanie w najdłuższe lata, idzie z pomocą i już

wszedł w granicę Rzeczypospolitej, Kozaków, którzy się oponowali, na sieczkę rozniósł i wali w sto tysięcy ordy pod Lwów, a Chmielnicki, *volens nolens*, z nim razem. – Dla Boga! dla Boga! – powtarzały różne głosy, jakoby przynębione szczęściem. A pan Śladkowski aż się zapocił i machając rękoma coraz żywiej, krzyczał: – Nic to jeszcze!... Pan Czarniecki, któremu Szwedzi pierwsi nie dotrzykali punktów, bo mu piechotę z Wolfem porwali, czuje się wolnym od słowa i na koń już siada. Król Kazimierz wojsko zbiera i lada dzień do kraju wkroczy, a hetmani, słuchajcie, ojcowie, hetmani: pan Potocki i pan Lanckoroński, z nimi zaś całe wojsko, czekają tylko na wejście króla, by Szwedów odstąpić i przeciw nim szable zwrócić. Tymczasem z panem Sapiehą się porozumiewają i z chanem. Szwedzi w strachu, ogień w całym kraju, wojna w całym kraju... kto żyw, w pole wychodzi! Co działo się w sercach zakonników i szlachty, trudno opisać, trudno wypowiedzieć. Niektórzy płakali, inni padali na kolana, inni powtarzali: „Nie może być, nie może być!” – co usłyszawszy pan Śladkowski zbliżył się do wielkiego krucyfiksu wiszącego na ścianie i tak mówił: – Kładę ręce na tych nogach Chrystusowych, gwoździem przybitych, i przysięgam, jako szczerą i czystą prawdę powiadam. Powtarzam wam tylko: brońcie się, nie upadajcie, nie ufajcie Szwedom, nie liczcie na to, byście pokorą i poddaniem się mogli jakiegokolwiek bezpieczeństwa sobie zapewnić. Żadnych oni nie dotrzymują umów, żadnych układów. Wy, tu zamknięci, nie wiecie, co się dzieje w całym kraju, jaki powstał ucisk, jakie gwałty, mordowanie księży, profanowanie świętości, wżgardzenie wszelkim prawem. Wszystko wam obiecują, niczego nie dotrzymają. (...) Zwlekajcie!... Ja, jako mnie tu widzicie, jeśli jeno żyw będę, jeżeli zdołam się Millerowi wyręczyć, zaraz na Śląsk do naszego pana ruszam. Tam mu do nóg padnę i powiem: „Milościwy królu! Ratuj Częstochowę i najwierniejszych sług swoich!” Ale wy się trzymajcie, ojcowie najmilsi, bo na was zbawienie całej Rzeczypospolitej spoczywa. Tu zadrżał głos panu Śladkowskiemu i łzy pokazały mu się na rżęsach, po czym tak mówił dalej: – Będziecie mieli jeszcze ciężkie chwile: idą działa burzące z Krakowa, które dwieście piechoty prowadzi... Jedną szczególniej sroga kolubryna... Nastąpią szturm okrutne... Ale to będą ostatnie wysiłki... Wytrzymajcie to jeszcze, bo już zbawienie idzie ku wam. Na te rany boskie, czerwone, przyjdzie król, hetmani, wojsko, cała Rzeczpospolita... na ratunek swojej Patronce... Ot, co wam powiadam... ratunek, zbawienie, sława... już, już... niedługo! Tu rozplakał się szlachcic pocziwy i stało się powszechne szlochanie. (...) Ksiądz Kordecki powstał ze swojego miejsca, zbliżył się do pana Śladkowskiego i rozłożył szeroko ramiona. Śladkowski rzucił się w nie i długo obejmowali się wzajem; inni idąc za ich przykładem poczęli padać sobie w ramiona a ścisnąć się i całować, a wieszować sobie, jakoby Szwed już odstąpił. (...) Późną nocą dopiero rozeszli się zakonnicy i szlachta na mury, ksiądz Kordecki zaś pozostał całą noc leżący krzyżem w kaplicy. Były obawy w klasztorze, ażeby znużenie z nóg go nie zważyło, lecz on nazajutrz rano pokazał się na basztach, chodził pomiędzy żołnierzstwem i załogą wesoly, wypoczęty, i tu, i owdzie powtarzał: – Dzieci! Jeszcze Najświętsza Panna okaże, iż od burzących kolubryn mocniejsza, a potem będzie koniec waszych trosk i umęczenia! (...) Tymczasem między Szwedami panował jakiś ruch niezwyčajny. Słychać było skrzyp kół, gwar głosów ludzkich, czasem rżenie koni i rozmaite inne hałasy. Żołnierze na murach odgadywali łatwo, co się dzieje. – Działa nadeszły, nie może inaczej być! – mówili jedni. – I szańce sypią, a tu ćma taka, że palców w własnej ręki nie dojrzyysz. (...) Na koniec ukazał się dzień i pierwsze jego blaski odkryły robotę szwedzką. Z północy i z południa stanęły szańce, nad którymi kilka tysięcy ludzi pracowało. Sterczały one tak wysoko, iż obłożonym zdało się, że szczyty ich leżą na równej linii z murami. Między regularnymi wycięciami wierzchołków widać było olbrzymie paszcze dział i stojących tuż za nimi żołnierzy, podobnych z dala do roju złotych ós. (...) Olbrzymie kolubryny przermowały. (...) Dwadziesięciosześcioletne pociski odrywały bliski murów, uderzały w ściany, jedne grzęzły w nich, drugie wybijały dziury olbrzymie odrywając tynk, glinowanie i cegły. Mury otaczające klasztor poczęły się tu i owdzie rysować i rozszepać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowymi pociskami groziły ruiną. (...) Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł z cicha: – Żle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej niż dzień nie wytrzyma. – Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą – odrzekł ksiądz Kordecki – a my tymczasem szkody jakoś naprawimy. – Im mgły nie przeszkodzą, bo owo działo, raz narychtowane, może prowadzić i po ciemku jedno bliźko zniszczenia, a tu gruzu wałą się i wałą. – W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie. – Tak jest! A żeby tak wycieczkę uczynić?... Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć? Wtem zaczęła jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających. – Patrę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać – rzekł. – Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czym mowa? – Mówimy o tym dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... już nakazałem egzorcyzmy... – Ojcze kochany! – rzekł pan Andrzej. – Od czasu, jak nam trzaska mur ta kolubryna, ciągle o niej myślę, i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wytłuszczę. (...) – Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić! – Jak to? – spytał pan

Czarniecki. – Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsądzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się pomiędzy Szwedów wśliznie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kolubryny wygląda, nie ma ludzi, to jeszcze lepiej. – Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni? – Potrzebuje tylko puszkę z prochem działa w pysk włożyć, z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... chciałem powiedzieć: pęknie! – Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu co dzień w nie tkają, a nie pęka? Kmicic rozśmiał się i pocałował księdza w rękaw habita. – Ojcze kochany, wielkie w was serce, bohaterkie i święte... – At, daj pokój! – przerwał ksiądz. – I święte – powtórzył Kmicic – ale się na armatach nie znać. Inna rzecz, gdy prochy buchają w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto nimi wylot zatka i zapali, to nie masz takiego działa, które by ten eksperyment wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w rusznicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsądzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero, gdy cała puszcza przy wylocie wybuchnie! (...) – Widzi mi się to rzecz niepodobna – rzekł na to ksiądz Kordecki – bo naprzód, kto to się podejmie uczynić? – Okrutny jeden ladaco – odrzekł pan Andrzej – ale rezolutny kawaler, zowie się Babinicz – Ty? – zawołał razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki. – Ej, ojcze dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przynależem. Były między nimi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakże to możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie? – To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły! – zakrzyknął Czarniecki. I chwyciwszy Kmicica za szyję mówił dalej: – Dajże gęby za samą ochotę, dajże gęby! – Pokażcie inne *remedium*, to nie pójde – rzekł Kmicic – ale widzi mi się, że jakoś tam sobie poradzę. I pamiętajcie o tym, że ja po niemiecku gadam, jakobym klepką i wańczosami w Gdańsku handlował. To siła znaczy, bo byłem przebranie miał, niełatwo odkryją, żem nie z ich obozu. (...) – Panie Czarniecki, co o tym waszmoż sędzisz? – spytał nagle przeor. – Na stu jeden chyba powróci z takiej imprezy – odrzekł pan Piotr – ale *audaces fortuna juvat!* – Bywało się w gorszych opałach – rzekł Kmicic – nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! (...) A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wróciś, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc! idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka boska pójdą z tobą... – W takiej kompanii pójde śmieie i rad zginę! – A wracaj, żołnierzyku boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany! (...) W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy, zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego. Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusza na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu. (...) – Świecę z daleka! – zawołał Kmicic – coś wam pokażę!... I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kieszkę długą na półtora stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek ukreślony z kłaków przesyconych siarką. – No! – rzekł – jak onej kolubrynie tę dryjakiew w gębę włożę – sznureczek podpale, to jej się brzuch rozpęknie! – Lucyper by się rozpęka! – zakrzyknął pan Czarniecki. Lecz wspomniawszy, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać, i uderzył się w gębę. – A czymże sznureczek zapalisz? – spytał ksiądz Kordecki. – W tym jest całe *periculum* wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień grzeszny, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzec, zwłaszcza że się będzie tłil chciwie, ale za mną mogą się w pogon puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać. – Czemu nie mozesz? – pytał ksiądz. – Bo wybuch by mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobacze, muszę zaraz w bok pyżgać, co siły w nogach, i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi. (...) – Idę! – rzekł (...). Co za fantazja w tym człeku! Albo on nałoży wcześniej głowę, albo hetmanem zostanie. Hm, żebym go nie znał sługą Marii, myślałbym, że ma... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera nie masz w Rzeczypospolitej. (...) Nagle trzecia osoba stanęła (...) – A co tam? – Babinicz poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsądzać. – Jak to? Co? – Wziął kieszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł. – Pan Zamoyski ścisnął sobie głowę dłońmi. – Jezus Maria! Jezus Maria! – rzekł. – Sam jeden? – Sam jeden. – Kto jemu pozwolił? Toż to jest niepodobieństwo!... – Ja! – odpowiedział ksiądz Kordecki. Zamoyski umilkł. Czarniecki pocałował parską ze wzruszenia. – Módlmy się! – rzekł ksiądz. Kłękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił włosy na głowie dwom rycerzom. Uplynęła kwadrans, potem pół godziny, potem godzina, długa jak wieki. – Już chyba nic nie będzie! – rzekł pan Piotr Czarniecki. (...) **cdn.**